

— Chciej mówić dalej — rzekła z wielką prostotą.

Opisywałem więc jej następnie smutne dzieje mego nieszczęśliwego losu. Przeczytałem nawet list Lucy Railton, miałem go bowiem przy sobie.

Gdy skończyłem, zapanowało czas jakiś długie i głębokie milczenie, w ciągu którego oboje nie odwracaliśmy od siebie oczu ani na chwilę.

— Daj mi ten list — szepnęła nareszcie i wyciągnęła po niego rękę.

Przeczytała pismo całe od początku do końca, poczem mi je oddała.

— Tak, to jest list mamy — rzekła.

Zamknęliśmy znowu.

Wśród ciszy słyszałem bicie własnego serca i głuche kołatanie zegara, stojącego na kominku.

Wkrótce zdało mi się, że jego chód powolny i miarowy doprowadza nerwy moje do strasznego rozstroju; myślałem, że ten zegar to symbol bezlitosnego przeznaczenia, prześladowającego mnie nieustannie. Chciałem powstać i potłuc go w kawałki.

Zerwałem się już z krzesła, lecz opamiętawszy się, usiadłem znowu.

— Klaro! — zawolałem — powiedz mi, że nie zmieniłaś się dla mnie, że jesteś zawsze moją, taką, jaką byłaś dotąd!

— To niepodobna! — odpowiedziała bardzo spokojnie, tonem pełnym powagi.

— Niepodobna?! Och! nie, nie! Nie mów tego! Nie możesz, nie wolno ci tak mówić!

Gdy szeptem wypowiadała słowa następne, lica jej stały się, jak śnieg, białe.

— A jednak, Kasprze, nie może być inaczej!

Zdało mi się, że słucham wyroku śmierci, więc powstałem z miejsca i niemal oślepiiony rozpaczą, zacząłem się bronić gorącymi, z serca wypływającymi słowami.

— Klaro! nie wiesz, co mówisz! Wszakże mnie kochasz, wszakże wyznałaś mi swoją miłość tam, nad rzeką... ja zaś kocham ciebie najgłębszym i najtkliwszym uczuciem, jakie kiedykolwiek przepelniało serce ludzkie! Jesteś moją duszą, moim światem całym, żyję tylko dla ciebie. Prawdopodobnie nie chciałaś powiedzieć tego, co powiedziałaś. Wszakże do dnia wczorajszego zbrodnia była ci nieznaną!... Ach! jakżebyś nawet o niej wiedzieć mogła! Byłaś dzieckiem wówczas... O, Klaro moja! czyżbyś mnie nie kochała?

Oczy jej wyrażały litość bez granic i czułe współczucie, lecz usta zaciśnięte, świadczyły o jakimś silnym i niezłomnym postanowieniu.

— Wiesz, że cię kocham.

— A więc, najdroższa, dlaczego pragniesz zerwać ze mną? Co nas teraz obchodzić może, że ojcowie nasi walczyli z sobą, gdy my się kochamy wzajemnie? Och! wszakże to najświętsza i najniezawodniejsza prawda, że Bóg nie żąda, abyśmy na sumieniach nosili znamię zbrodni, której nie popełniliśmy i której dziedzicami być nie chcemy. Przemów, Klaro i przyrzec, że pomimo wszystkiego będziesz moją!

— To być nie może — odparła z wielką słodyczą.

— To być nie może! — powtórzyłem z jękiem — dlaczego?... W takim razie miałem słuszność, ty mnie nie kochasz... wyobrażałaś sobie tylko czas jakiś, żeś mi oddana sercem i duszą... Ukochana! najukochańsza! czy to dobrze, czy to nieczciwie?... Co do mnie, niema władzy, ani najsroższej potęgi na ziemi i w niebie, która by mnie zmusić mogła, abym cię odrzucił tak okrutnie, jak ty mnie odrzucasz!

Gwałtownie uniesienie, z jakim przemawiałem, zgąsło nagle na widok niemego wyrzutu, malującego się w jej uwielbianych przezemnie oczach. Chwyciłem jej białą rączkę w obie dłonie.

— Przebac mi, Klaro! Rozpacz mnie gnębi, więc w pierwszej chwili nie zdaję sobie sprawy z tego, co mówię. Lecz wiem, że mnie kochałaś, boś mi to sama wyznała. Zresztą, dla mnie, jesteś, byłaś zawsze uosobieniem prawdy i dobroci. Jeśli jednak mnie kochałaś, to i teraz kochać mnie możesz jeszcze. Przypomnij sobie, cośmy mówili nie-

raz, że miłość mocną jest jak śmierć! Jakżeby zatem dała się pokonać tak łatwo?!

Drżała całym ciałem, a rączka jej, dłonią moją ścisłana, mówiła mi o wstrząsającym ją wzruszeniu. Lecz chociaż oczy jej, pełne wyrazu anielskiej słodyczy, zdawały się na prośby moje odpowiadać tkliwym współczuciem, widziałem w nich nietylko wielki niepokój, lecz i niewzruszone postanowienie.

— Nie, Kasprze, to co było, już nigdy powróci ci nie może. Czy sądzisz, że ja nie cierpię? Czy myślisz, że niczem dla mnie jest utracić ciebie? Mniej lepsze o mnie mniemanie; chciej wierzyć, że niezmiernie bolesnem dla mnie jest rozstać się z tobą, bo ja cię bardzo kocham!

Po chwili mówiła dalej:

— Nie, nie! nie utrudniaj mi spełnienia ciężkiego obowiązku!... Gdybyś przeklinał, stokroć łatwiej byłoby mi go spełnić... Dlaczego mnie nie nienawidzisz? Wszakże nienawidzić mnie powinien! O, gdybyś odwrócił się odemnie z pogardą i wstrętem, o ileż łatwiej byłoby mi znieść twój wstręt i pogardę, niż...



Jestem Jenny Railton, a powiedziałaś, że ojca twego zabił mój ojciec.

W słowach jej było tyle rezygnacji, a zarazem taki ton błagalny, że ze względu na nią krwawiło mi się i ścisnęło serce boleśnie. Pomimo to jednakże odpowiedziałem:

— Klaro, ja się ciebie nie zrzeknę, choćbyś mnie o to prosiła na kolanach. Obecnie tylko śmierć może nas rozłączyć, a i śmierć nawet nie zabije mojej miłości!

— Śmierć! — odpowiedziała. — Myśl więc, że umarłam... myśl o mnie jak o kimś, spoczywającym w zimnej mogile, pod darniną cmentarną!... O, mój drogi, serca nie łamią się tak łatwo! Cierpieć będziesz czas jakiś, lecz przyjdzie chwila, w której zapomnisz o mnie.

— Klaro!

— Przebac mi, mój ukochany. Wiem... wiem, że nie zapomnisz. Ublżyłam ci, wyrażając się niewłaściwie... uczyniłam to mimowoli, pod wpływem przykrych wrażeń. Chciej mi wierzyć, Kasprze, że jeśli wśród ponurych ciemności, mnie otaczających, dostrzegłam jeden... jedyny promyk świetlany, to tym promieniem jest przekonanie, że mnie bardzo kochasz i że nigdy nie zapomnisz o mnie. A jednak, o ileż byłoby mi łatwiej, gdybyś... gdybyś...

W miarę, jak po pewnej przerwie, trwającej

kilka sekund, mówiła dalej, czułem wszelką nadzieję ulatniającą się z mego serca, lecz walczyłem jeszcze jak człowiek, broniący życia własnego. Unosiłem się momentalnie, protestowałem, wzywałem niebo i ziemię na świadków jej okrucieństwa — wszystko na próżno.

— To byłby grzech, okropny grzech — powtarzała nieustannie — Bóg nie przebaczyłby go nam nigdy! Nie, nie! nie staraj się mnie przekonać. Nie zdołam za nic w świecie pogodzić się z tą myślą straszną...

I znowu zadrżała całym ciałem.

Nie mogąc pokonać jej uporu, rzekłem:

— Pozostawię ci czas do namysłu. Gdy tu powrócę... nie wątpię, że cofniesz swoje bezlitosne postanowienie.

— Nie, mój najdroższy, nie powinniśmy widywać się więcej. Już teraz musimy pożegnać się na zawsze. Słuchaj! — uśmiechnęła się po raz pierwszy od chwili, w której spotkaliśmy się na cmentarzu... — Przyjdź dziś na przedstawienie „Franceski“... ja grać będę...

— Jakto? Dziś wieczór?

— Tak. Żyć trzeba, chociaż się cierpi. Patrz! mam właśnie dla ciebie bilet do łoży. Wszakże przyjdiesz? Czy mi to przyrzekasz? Przyrzeknij!

— Nie mogę, Klaro.

— Przyrzeknij! Uczyni dla mnie tę ostatnią łaskę. Nigdy o nic innego prosić ci już nie będę.

Milcząc, przyjąłem bilet.

— A teraz — rzekła — możesz mnie ucałować. Pocałuj mnie w usta po raz ostatni... i niech cię, mój ukochany, Bóg błogosławi!

Spokojnie, z wyrazem nieopisanej słodyczy i czułości, promieniejącej z jej twarzy, zbliżyła usta swoje do moich.

— Klaro! życie moje! moja ukochana!

Objąłem ją ramionami. Poddawała się bez oporu, a w chwili, gdy wargi nasze sklepiły się w gorącym, przeciągłym, namiętnym pocałunku, upadła mi całym ciałem na piersi.

— Nie opuścisz mnie! — krzyknąłem uszczęśliwiony.

Lecz wraz z tkaniem, rozdzierającym jej łono, posłyszałem odpowiedź:

— Muszę... muszę cię opuścić!

Poczem, wysunawszy się z objęć moich, rzekła:

— Do wieczora. Pamiętaj, coś przyrzekł... i... żegnam cię!

Oto tak rozstaliśmy się, w szarem, niknącem już świetle grudniowego popołudnia.

Smutny, wyczerpany z sił bolesnem pożegnaniem, siedziałem tegoż dnia w ciemnym kącie łoży i czekałem na podniesienie zasłony nad pierwszym aktem „Franceski“.

Aż pod sklepienia stropu zapelnioną była sala Colosseum tłumnie zgromadzoną publicznością, wiedziano bowiem, że choroba Klaryssy Lambert była tylko jednodniowym niedomaganiem i że dziś wieczór wystąpi znowu w roli, którą stworzyła po mistrzowsku.

Zanadto pochłonięty byłem przykremi myślami, abym mógł zwracać baczną uwagę na wszystko, co mnie otaczało, zauważyłem jednakże od razu, że łoża moja przytykała do sceny. Więc raz jeszcze, niemal tuż przy sobie, będę mógł usłyszeć głos ukochanej i patrzeć na jej ubóstwianą postać. Raz, cz. dwa rzuciłem okiem po sali. Wszystkie łoża naprzeciw mnie były zajęte; położonych zaś po stronie, przy której siedziałem, widzieć nie mogłem. Po spojrzeniach, które mi objąłem całość widowni, ukryłem się znowu w cieniu — i czekałem.

Nie wiem, kto skomponował muzykę, ilustrującą tragedję, a zwłaszcza wstępną do niej uwerturę. Mieści ona w sobie wykwiśniętą melodyę, gasnącą naprzód w waryacjach orkiestralnych, poczem, po niejakiem czasie, powraca w tonie minorowym i wyraża głęboką boleść serca, zranionego zawiedzionem uczuciem miłości. Ow wdzięczny utwór muzyczny tylko dwa razy w życiu oblił się o moje uszy, a jednak po dziś dzień tkwi mi jeszcze w pamięci.

(Dalszy ciąg nastąpi).